

Pismo.

MAGAZYN OPINII

MARZEC 2021 | NR 3 (39)

TEMAT PISMA

Śmiech vs gniew
– co jest lepszym
narzędziem sprzeciwu

STUDIUM

Ty też karmisz
sztuczną inteligencję

Fotowoltaika
– skąd ten boom?

REPORTAŻ

Opieka
bez wytchnienia

CENA: 15,99 zł (w tym 8% VAT)

ISSN 2544-5022 INDEKS 422258

03>



9 772544 502104

Pismo.

MAGAZYN OPINII

MARZEC 2021 | NR 3 (39)



[Kup książkę](#)

ZŁOTE LWY - NAJLEPSZY FILM

45. FPFF W GDYNI 2020

ZABIJ TO I WYJEDŹ Z TEGO MIASTA

FILM MARIUSZA WILCZYŃSKIEGO
Z MUZYKĄ TADEUSZA NALEPY



tiff.



70th
Encounters

WYKONAWCA: POLSKI INSTYTUT SZTUKI FILMOWEJ W SPÓŁNOSTCE Z FILMOTECĄ NARODOWĄ - INSTYTUTEM KINOWIZUALNYM, INSTYTUTEM ADAMA MICHAŁOWICZA, ŁÓDŹ - MIASTO KINOWE, LETKO, NOLABEL, BI FACTORY, GIGANT FILMS
PROJEKTOWAŁA IŁA WILCZYŃSKA IŁA WILCZYŃSKIEGO Z WIZYJĄ TADEUSZA NALEPY „ZABIJ TO I WYJEDŹ Z TEGO MIASTA” W REŻYSERSTWIE MARIUSZA WILCZYŃSKIEGO W ROLACH GŁÓWNYCH: KRYSZTOF JAJKA, ANDRZEJ WĄJDA, MAREK KOMBART, DANIEL OLBRYCHSKI
SCENARIUSZ I REŻYSERIA: MARIUSZ WILCZYŃSKI WYKONANIE I REŻYSERIA: TADEUSZ NALEPY
MONTAŻ: JACEK KOSIŃSKI
MONTAŻ DŹWIĘKU: AGATA GORZĄTEK
PRODUKCYJA: EXTREME EMOTIONS
PRODUKCYJA WYKONAWCZA: ŁUCJA KOTWIŃSKA-SAMODULSKA
PRODUKCYJA: EWA PROSZCZYŃSKA, HANUSZKA ŚCIBIŃSKA

W SPÓŁNOSTCE Z FILMOTECĄ NARODOWĄ - INSTYTUTEM KINOWIZUALNYM, INSTYTUTEM ADAMA MICHAŁOWICZA, ŁÓDŹ - MIASTO KINOWE, LETKO, NOLABEL, BI FACTORY, GIGANT FILMS



PROMOCJA FILMU DOFINANSOWANA ZE ŚRODKÓW POLSKIEGO INSTYTUTU SZTUKI FILMOWEJ

Kup książkę

Pismo.

MARZEC 2021

PROZA

Kotasy | 6
DOROTA KOTAS

Rozbita skorupka | 94
PATRYCJA DOŁOWY

RZECZ GUSTU

Redakcja poleca | 3
wystawy sztuki w marcu

APTECZKA

Co w niej trzyma... | 93
TOMASZ ARMADA

POEZJA

witalisy | 11
URSZULA HONEK

[...] | 57
SŁAWOMIR HORNIK

OBRAZ

CYKL PRAWA CZŁOWIEKA **Przesąd** | 4
RATS AGENCY

FOTOREPORTAŻ **Wolność tak, przemoc nie** | 58
MACIEJ MOSKWA

KOMIKS **Bunt** | 24
MARTA ZABŁOCKA

OKŁADKA **Po linii oporu**
JAN ROSIEK

FELIETON

2 | TYMCZASEM **Pociąg**
MARCIN WICHA

87 | NIE WSZYSTKO STRACONE **Ziemię zwróć**
ANIA MORAWIEC o uczeniu się od rdzennych ludności

96 | PRZYPISY **À propos buntu**
ZUZANNA KOWALCZYK

ESEJ

12 | **Śmieszni na serio**
ZUZANNA KOWALCZYK zastanawia się, czy śmiech ma moc obalania reżimów

18 | **2021: rok buntu**
KAROLINA WIGURA o tym, co pomoże nam bardziej: gniew czy empatia?

ROZMOWA

40 | **Święto kobiet**
z BARBARĄ WOJNAROWSKĄ rozmawia MAGDALENA KICIŃSKA

REPORTAŻ

34 | **Wytchnienie**
URSZULA JABŁOŃSKA pyta o koszt odpoczynku opiekunów osób z niepełnosprawnością

68 | **Pogoda dla obserwatorów**
ALEKSANDRA KOZŁOWSKA pisze z Obserwatorium na Kasprowym Wierchu

STUDIUM

74 | **W stronę słońca**
JUSTYNA PISZCZATOWSKA analizuje modę na instalacje słoneczne

80 | **Mrówka taka jak ty**
JAKUB WĄTOR sprawdza, ile kosztuje karmienie sztucznej inteligencji

PORTRET

48 | **Jordan Peterson**
JAREMA PIEKUTOWSKI o kontrowersyjnym psychologu, który wraca z nową książką

HISTORIA OSOBISTA

88 | **Uważaj mój dom za swoją gospodę**
YIYUN LI o żałobie i bólu opowiadania o niej

Pismo.

Pismo. Magazyn opinii
www.magazynpismo.pl

Wydawca: Fundacja Pismo
ul. Wojciecha Górskiego 1/66,
00-033 Warszawa
KRS: 0000689263, NIP: 1182150957

Prezes Zarządu: Piotr Nesterowicz
Członkinie Zarządu:
Magdalena Kicińska, Kalina Wysznińska

Adres redakcji: Pismo. Magazyn opinii, ul. Wojciecha Górskiego 1/66, 00-033 Warszawa,
Redaktorka Naczelna: Magdalena Kicińska, Sekretarzka Redakcji: Katarzyna Kazimierowska,
Felierton: Marcin Wicha, Idee: Karolina Lewestam, Zuzanna Kowalczyk, Technologie: Martyna Trykozko,
Redakcja: Marcin Czajkowski, Zofia Sawicka, Korekta: Monika Marczyk, Dorota Śrutowska,
Szefowa Projektów Cyfrowych: Barbara Sowa, Wydanie Cyfrowe: Mateusz Roesler,
Projekt makiety: Jacek Utko, Redaktorka Artystyczna: Karolina Mazurkiewicz,
Szefowa Marketingu i Sprzedaży: Kalina Wysznińska, Promocja: Ewa Salamon, Fundraising: Natalia Czarkowska,
Reklama: reklama@magazynpismo.pl, Prenumerata: www.magazynpismo.pl/prenumerata

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania. Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i ma prawo do odmowy publikacji.

Kup książkę



MARCIN WICHA

(ur. 1972), grafik,
projektuje okładki,
plakaty, znaki
graficzne. Pisarz.
Nagrodzony
Paszportem
„Polityki”
2017 w kategorii
literatura. Laureat
Nagrody Literackiej
Nike 2018 za
*Rzeczy, których
nie wyrzuciłem.*

Pociąg

I wtedy robi się ładna pogoda. Zawsze na konie nie robi się ładna pogoda. Nie za gorąco, nie za zimno. Przypominają się wszystkie miejsca, w które nie poszliśmy tego lata. Było jeszcze tyle czasu. Myślisz o wszystkich psach, które w przyszłym roku będą już miały siwe pyski. Trzeba spakować rzeczy.

Siedzisz przy stole, przeglądasz rocznik pisma „Miś” w introligatorskiej oprawie. Rok 1977, okładka z marmurkowego papieru. Kiedy na coś jest za późno, dzieciństwo kończy się po raz pierwszy. Czytasz, że pani z Ghany dostała tulipany. Czytasz Piosenkę małego fiata. Pokoloruj bukiet warzyw. Czy znasz inne przedmioty, których nazwy zaczynają się na literę „s”? Jesteś za duża na takie rzeczy. Obojętnie przewracasz strony, na których przybywa ludzików z kasztanów, jarzębin i choinek. Może jeszcze tu wpadniemy jesienią. (Wiesz, że nie).

*W naszej dymie
Wyłóconej słońcem
Brzęczą pestki
Jak skarby w skarbonce.*

Trafi się jeszcze kilka pogodnych weekendów. Festyn, na którym będzie gorąco i tłok, nic nie zobaczysz, bo tłum zasłoni scenę. Jeszcze pojedziesz do szkoły na rowerze. W któryś piątek weźmiemy hulajnogę i wrócimy przez park. Jeszcze pozwolą wam się bawić na dworze. Wypuszczą na boisko. I tyle. Odrobina koloru, który wyszedł za linię.

Potem robi się zimno. Przyjdą ciemne poranki. Parujący tłum w tramwaju. Syrop na kaszel. Odgrzewany obiad. Kinderbale z tortami w kształcie żółwia lub wyścigówki. Wiesz, że nie ma innego sposobu. Mówimy ci, że to nie będzie długo. Jakies dwadzieścia numerów pisma „Miś”.

*Kiedy wiosną
Słońko błysnie*

Introligator obciął dół strony i nie potrafisz odgadnąć rymu.

JEST JUŻ JESIEŃ.

– Wiedeński pociąg – mówię i na chwilę odstawiam walizkę.

– Zaczekajcie, jeszcze zdjęcie. Nie zdejmujcie masek, tak będzie śmieszniej.

– Wiesz, że wszyscy wyjeżdżali wiedeńskim pociągiem? Tylko z innego dworca – chcę dokończyć, ale nie słuchasz. Nie obchodzi cię, kim byli wszyscy i dlaczego wyjeżdżali. Sam widzę, że to nie jest moment na pogadankę historyczną.

– Na pewno ten peron?

– Wzięłaś paszport?

– Masz kartę EKUZ? Adres? Ładowarkę na wierzchu?

– Kanapki są w małym plecaczku.

– Pamiętaj, żeby jeść, dobrze? Będziesz pamiętała?

– Widzimy się na święta.

Wagon jest prawie pusty. Stoisz w drzwiach. Sprawdzamy godzinę, bo nie ma już nic do powiedzenia. Czuję twoje spojrzenie. Wyglądasz jak dziecko, które zgodziło się na jazdę na diabelskim młynie i właśnie dochodzi do wniosku, że to był kiepski pomysł.

– *What the fuck?* – mówisz.

Po co ci to było? Po co było udawać dorosłą? Płaszcz w jodełkę. Zakupy w lumpeksie. Nowa fryzura. Film o Żiżku. Wrócę późno. A teraz to wszystko, cała ta dorosłość, zaprowadziła cię do bezprzedziałowego wagonu drugiej klasy.

Masz plastikową walizkę, ale już nie chcesz się w to bawić. My też już nie chcemy. Po prostu wysiądź. Pomyślimy, jak to odkręcić. Ale najpierw wrócimy do domu, zjemy śniadanie. Mama robi omlet, polejemy go syropem malinowym. Potem pójdziemy do parku i nazbieramy kasztanów, ile lat już tego nie robimy. I dzisiaj nic się nie wydarzy. Ani jutro. Ani nigdy. W każdym razie jeszcze długo.

Milczymy, sprawdzamy godzinę. Wychodzi słońce. Niebo robi się pomarańczowe i pociąg rusza.

– Uciekaj – mówię, kiedy już nie słychać.

– Uciekaj stąd, uciekaj.

Rzecz gustu,

CZYLI REDAKCJA „PISMA”
poleca w **marcu** wystawy sztuki

Marzec 2021

WARSZAWA

ŁÓDŹ

TORUŃ

KRAKÓW

BIELSKO-
-BIAŁA



Henryk Streng/Marek Włodarski i modernizm żydowsko-polski

Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie zaprasza na wystawę poświęconą twórczości modernisty Henryka Strenga/Marka Włodarskiego, malarza tworzącego w międzywojennym Lwowie i powojennej Warszawie. Wystawa koncentruje się wokół tematów relacji polsko-żydowskich, Zagłady, socrealizmu oraz lokalnych adaptacji modernizmu. Oglądać ją można w Muzeum nad Wisłą do 9 maja.

WIĘCEJ: artmuseum.pl

Prototypy 04.

Agata Siniarska i Osuwisko

Muzeum Sztuki w Łodzi organizuje czwartą odsłonę cyklu *Prototypy*, tworzonego w duchu ekologii – zamiast wytwarzać nowe obiekty, wystawy składają się z przekształconych i użytych w innym kontekście zasobów muzeum. Tym razem Agata Siniarska zaprasza na *Osuwisko* poświęcone materialnym aspektom tworzenia i istnienia dzieł sztuki. Można ją oglądać do 11 kwietnia.

WIĘCEJ: msl.org.pl



Sylwester Ambroziak. Niewinność

W Centrum Sztuki Współczesnej w Toruniu można oglądać wystawę jednego z najbardziej uznanych współczesnych rzeźbiarzy, Sylwestra Ambroziaka. Składają się na nią zarówno rzeźby, jak i eksperymentalne filmy animowane, wyświetlane na wielkoformatowych ekranach. Można ją oglądać do 21 marca.

WIĘCEJ: csw.torun.pl

Artyści z Krakowa. Generacja 1950–1969

W krakowskim MOCAK-u (Muzeum Sztuki Współczesnej) można oglądać wystawę poświęconą krakowskiej scenie artystycznej. Wystawa gromadzi prace ponad trzydziestu twórców z pokolenia urodzonego w latach 50. i 60., związanych z Krakowem i wyrosłych w PRL-u. Oglądać ją można do końca maja.

WIĘCEJ: mocak.pl

Pole bitwy

Wystawa konfrontuje nas z pytaniem o rolę znaków i symboli w sztuce, przedstawiając prace polskich artystów, którzy w swojej twórczości odnoszą się do rzeczywistości społecznej i kwestii interpretowania historii. Wystawa pod kuratelą Ady Piekarskiej w Galerii Bielskiej BWA w Bielsku-Białej jest do oglądania do 14 marca.

WIĘCEJ: galeriabielska.pl







PRAWA CZŁOWIEKA

Przesąd

zdjęcie i tekst FILIP SKROŃC

RATS
AGENCY

Na początku lutego 2021 roku w Malawi, w dystrykcie Machinga, próbowano porwać dwunastolatkę. Odnaleziono też ciało zamordowanego mężczyzny o imieniu Saidi Dyton. To ostatnie ofiary prześladowań ludzi z albinizmem. Od pięciu lat Ikponwosa Ero, niezależna ekspertka ONZ, powtarza, że grupie tej grozi w Malawi całkowita zagłada.

Pierwsze morderstwo zaliczane do tej fali miało miejsce blisko piętnaście lat temu w Tanzanii. Kobieta została wtedy zamordowana i poćwiartowana. W wiosce Nyahunge zaczęto mówić wtedy, że zrobiono to na polecenie czarownic, bo nikt nie łączył jeszcze wtedy tej sprawy z opowieściami „o magicznej mocy ciał albinosów”. Tego typu przesady zaczęły nabierać na sile w tamtym okresie, a opowieści o nogach, rękach, włosach i genitaliach, które mogą zmienić nędzarza w bogacza, szybko przekraczały granice narysowane na mapach. Nie trzeba było czekać długo na kupców z Demokratycznej Republiki Konga, Kenii, Ugandy, Burundi, Mozambiku czy Malawi.

Na zdjęciu:
Salum Abdallah na tyłach rodzinnego domu
na przedmieściach Dar es Salaam.

618

- liczba wszystkich zgłoszonych przypadków ataków na osoby z albinizmem obejmująca cały kontynent afrykański

[Kup książkę](#)



PROZA

Kotasy

tekst DOROTA KOTAS

Kiedys strasznie chciałam mieć kotka. Było to moje życzenie numer jeden, najważniejsze na bardzo krótkiej liście marzeń. Matka oczywiście się nie zgodziła. Wmówiła mi alergię, której nie miałam, a przynajmniej nie była ona na tyle silna, żebym umarła od skradania się na spacerach do bezdomnych kociaków i od przebywania w cudzych mieszkaniach, w których żyły te lub inne zwierzęta. Wiedziałam już wtedy, że moje szczęście jest jej obojętne, w ogóle się nie liczy, ważne są tylko zakazy i zasady. Matka przekonywała mnie, że gdybym miała kota, na pewno byłby z nami strasznie nieszczęśliwy i zdechłby z żalu. Mówiła mi, że są to zwierzęta, które wolą żyć na wolności, spać w piwnicach i polować na myszy oraz że są samotnikami nienawidzącymi ludzi, a szczególnie dzieci. Byłam zrozpaczona. Mieszkaliśmy na małym osiedlu, gdzie w prawie każdym domu żył jakiś kotek. Każdemu współczułam, że nie należy do mnie, tylko męczy się z obcymi dziećmi, których na pewno nie lubi, bo te inne dzieci były głośne, wykonywały gwałtowne ruchy – zero delikatności. Ja byłabym o wiele lepsza dla każdego kotka. Moglibyśmy zostać prawdziwymi przyjaciółmi, bo z dziećmi to się nie udawało. Myślałam, że moje nazwisko do tego właśnie zobowiązuje, że nie mogę żyć sama, tylko z jakimś kotasem, a wtedy wszystko zacznie się jakoś układać, bo będzie to moja druga połówka, będziemy razem jak asy. Wyobrażałam sobie siebie i kotka jako parę z karcianej gry w wojnę. Z powodu zakazu trzymania zwierząt w domu byłam najnieszczęśliwszym dzieckiem na całej planecie Garwolin. Czułam, że nigdy niczego nie wygram, ponieważ nie jestem kompletną osobą, nie mogę być sobą do końca, bo moja drużyna wojenna była wybrakowana. Wiadomo, że nie można być samemu w załodze na wielkiej wojnie.

Upatrywałam pewną szansę na otrzymanie zwierzątka w szkolnych mikołajkach. Losowaliśmy na kartkach imię osoby, której trzeba kupić prezent za dziesięć złotych, i mówiliśmy, co chcemy dostać. Kiedy była moja kolej, powiedziałam, że chcę małego kotka. Chłopiec, który mnie wylosował, zaczął płakać. Powiedział, że to niemożliwe i że trafił najgorszą osobę z całej klasy, bo do szkoły nie wolno przynosić kotków i nie wiadomo nawet, skąd się je bierze zimą. Na-

uczycielka pocieszała go, mówiąc, że może mi kupić jakąś zabawkę i że na pewno nie miałam na myśli żywego zwierzątka. Oczywiście dostałam później mechanicznego pluszaka na baterie, który wydawał koszmarnie dźwięki. Był to najgorszy możliwy prezent i poczułam się mocno zawiedziona. Napisałam do Mikołaja list z pogrózkami i pretensjami. Zostawiłam go na parapecie w swoim pokoju, żeby elfy go znalazły i dostarczyły do fabryki. List zniknął jeszcze tej samej nocy. Żądałam w nim rekompensaty. Dostałam książki na temat hodowli. Później matka powiedziała mi, że kotki są drogie i że jeśli chcę jakiegoś kupić, to muszę zbierać mnóstwo pieniędzy. Wiedziałam, że dam radę, bo miałam już w tym wprawę. Jeszcze zanim zaczęłam zerówkę, miałam zadatki na bizneswoman. W oszczędzaniu była dyscyplina, która mi odpowiadała. Czułam się zdeterminowana. Zamierzałam osiągnąć wszystko, co postanowię. To się nigdy nie zmieniło. Jest w tym pewna moc i mnóstwo naiwności, ale nigdy się nie poddaję, jeśli chcę coś zrealizować. Wiem, że wszystko, czego chcę, jest nieuniknione. To tylko kwestia czasu. Świat w końcu mi to da. Trzeba tylko trochę się postarać i namęczyć się brakiem. Być może to jedyny skuteczny sposób na życie.

Zbieranie pieniędzy na kota trochę mi zajęło. Ojciec mówił, że jak już kupować, to najlepiej persą, bo nie ma doskonalszej rasy. Prawdopodobnie w ten sposób chciał jeszcze odwlec moment, w którym dostanę to, czego chcę. Nie znaliśmy żadnych persów, poza jednym, który mieszkał w naszym starym bloku. Ze względu na doświadczenia z przeszłości dałam się przekonać. Uznałam Księcia z osiedla za znak i kiedy o nim usłyszałam, postanowiłam czekać na kogoś podobnego. Gra na moich emocjach jest bardzo prosta. Łatwo się mną manipuluje, wystarczy dotknąć w odpowiednim miejscu, a zostają ślady w głowie i później wszystko robi się samo, jak w nakręcanym piesku. W międzyczasie znalazłam na ulicy czarnego kundla. Był brzydki i brudny. Bardzo mi się spodobał. Kiedy wbiegł na podwórko, siedziałam na drzewie czereśniowym u babci S. Zabrałam psa ze sobą i udawałam, że jest moim kotkiem. Nazywał się Pikaczu. Karmiłam go mlekiem z pokruszoną bułką, bo nie miałam pomysłu na lepsze jedzenie. Pies miał zakaz wstępu do domu, ale mogłam bawić

się z nim w ogródku, a nawet na tarasie, i to już było coś. Przychodził do nas przez cały tydzień. Później nagle przestał się zjawiać, jakby się rozpląnął. Być może ktoś zadzwonił do schroniska i doniósł, że wściekły czarny pies błąka się po osiedlu Działki i straszy dzieci. Chyba nawet wiem, kto mógł to zrobić. Rodzice mówili mi, że zapewne Pikaczu wrócił do swojej rodziny, która żyje gdzieś w lesie i za którą bardzo tęsknił. Chciałam zamieszkać razem z nimi w szałasie. Mielibyśmy dywany z mchu i dach z gałązek świerku, a do jedzenia moglibyśmy zbierać jagody, a nawet jajka dzikich ptaków i korę drzew, bo gotowana mogłaby być nawet smaczna. Ale chociaż jeździliśmy do lasu bardzo często, to nigdy nie spotkaliśmy tam nawet podobnego psa, psa, z którym mogłabym zostać w lesie na zawsze. Postanowiłam, że jeśli jeszcze kiedyś będę się opiekować jakimś zwierzątkiem, to nigdy nie pozwolę mu odejść i wszystko mu wynagrodzę. Było mi nieskończenie przykro. Nie miałam obok siebie żadnych innych bliskich osób niż psy.

W soboty jeździliśmy z ojcem na giełdę. Wstawałam wcześniej rano, było jeszcze ciemno. Zabierałam wszystkie pieniądze i ruszaliśmy w drogę. To były weekendowe wyprawy. Targ pełen był królików w klatkach, żywych i martwych. Było na nim mnóstwo kurczaków w różnym wieku i trochę świń, ludzie kupowali też dla nich paszę albo narzędzia gospodarcze, ale nigdy nie spotkaliśmy żadnego persy. Wracaliśmy do domu, a ja płakałam już do wieczora. Ojciec mówił, że może za tydzień się uda i że przynajmniej spróbowaliśmy, że było już bardzo blisko i że miał dobre chęci. Matka patrzyła na mnie z obrzydzeniem za każdym razem, kiedy wybuchałam płaczem. Tak wyglądał prawie każdy weekend. Aż kiedyś znalazłam ogłoszenie w gazecie.

To były dziwne czasy, kiedy jeszcze zamieszczano informacje o sprzedaży kociąt w druku. Gazeta była stara, nie wiem, gdzie ją znalazłam, ale ukradłam cały numer i w domu wycięłam rubrykę ze zdjęciem. Był to czarno-biały kwadracik. Format miał nie większy niż obrazki z zapowiedziami filmów w „Teletygodniu”, ale i tak dostrzegłam na nim swojego kotka. Rodzice powiedzieli mi, że na pewno już tych persów nie ma i że to musi być fałszywe ogłoszenie, bo koty są w podejrzanie niskiej cenie. Udało mi się

wymusić telefon pod wskazany numer tylko dlatego, że nikt nie wierzył, że coś z tego będzie. Później rodzice nie mogli się już wymigać, bo podsłuchiłam rozmowę. Oddałam im wszystko, co miałam. Wybudowałam pod schodami wielkie miasto z kartonów, szyłam ręcznie poduszki ze swoich starych ubrań, robiłam zabawki z pustych butelek i wędki z pomponami, które odcinałam od czapek. Tylko tym się zajmowałam, więc w końcu nie dało się już dłużej odwiekać nieuniknionego. Ojciec przywiózł do domu kota. Był on moją najważniejszą osobą. Nigdy na nic nie czekałam bardziej. Myślałam wtedy, że nie ma na świecie wyższej formy piękna niż szylkretowa kotka z długą sierścią i z oczami małej sowy. Była miękka i miła. Nazywała się Rita. To imię czekało przez kilka lat, aż pojawi się u nas w domu, a to czekanie było jak ciąża trwająca prawie całe dzieciństwo. Rita spała ze mną w łóżku. W święta siedziała z nami przy stole i dostawała prezenty zapakowane w połyskliwy papier z Mikołajem jak prawdziwe dziecko. Była ze mną na wszystkich zdjęciach z tamtego okresu. Czytałam jej książki i objaśniałam, jak działa świat. Raz zaszła w ciążę i okociła się na moich kolanach. Podobno była to najwyższa forma zaufania. Kochałam ją jeszcze bardziej. To prawda, że miałam w głowie głównie kota. Wszyscy się z tego śmiali. To nie była poważna przyjaciółka. Lepiej byłoby oglądać telewizję albo zająć się czymś pożytecznym, może pracą naukową czy rozwojem kariery.

Pewnego dnia wróciłam ze szkoły i nigdzie jej nie było. Nie wróciła przez kilka następnych dni. Ojciec powiedział mi, że matka oddała mojego kota koleżance z pracy. Podobno miała już nas dość i nie mogła na to patrzeć. Leżałam na podłodze w zamkniętej łazience i płakałam przez wiele godzin. Pamiętam brudny brązowy dywan przy wannie. Chciałam na nim umrzeć. Matka była wściekła z zazdrości. Krzyczała na mnie, że to tylko kot i że powinnam się wstydzić, że tak się zachowuję, że gdyby ona umarła, na pewno bym tak nie płakała. Nie wiem, czy miała rację, ale po wszystkim, co mi mówiła w dzieciństwie, łatwo było mi

ją znienawidzić. Była zazdrosna o kota, ale też o wszystkie moje ulubione nauczycielki i o czas, w którym zamykałam się w pokoju, żeby czytać książki, i kiedy nie chciało mi się z nikim rozmawiać. Jednocześnie nigdy mnie nie polubiła. Patrzyła na mnie i mówiła: „Och, ale jesteś brzydka!”. To bardzo dziwny zestaw uczuć. Może gdyby urodziła mnie później, a nie w wieku niespełna dwudziestu lat, wyglądałoby to inaczej. A tak zrujnowałam jej życie. Może byłoby lepiej, gdybym była później. Nie musiałyby w pośpiechu brać ślubu w pożyczonej sukience, z Dorotą Kotas w brzuchu. Nie zazdroścę jej tego doświadczenia, ale to przecież nie moja wina. Chciałam tylko spokoju. Po co było mnie rodzić, żeby mnie nie lubić? Czy gdybym była miła i zachowywała się mniej dziwnie, to byłabym jej ulubionym dzieckiem, czy wszystko i tak było stracone, bo



byłam zbyt podobna do ojca? Na szczęście ojciec mnie lubił. Robił to w sposób szorstki i agresywny, ale prawda jest taka, że jeśli ja jestem w spektrum autyzmu, to on jest w nim na dwieście procent. Nie mam co do tego wątpliwości. Gdyby nie mój asperger, pewnie łatwo byłoby mi go nie lubić. Ale trochę ratuje sytuację to, że jesteśmy tacy sami. Tyle że on jest chłopcem, jest trochę starszy i nie znosi czytać książek, więc nigdy się o niczym nie dowie. Gdyby się dowiedział, niczego by to nie zmieniło. Zaczęłyby się tylko ze wszystkiego śmiać. Kiedy straciłam mojego kota, akurat przyjechała ciocia. Strasznie płakałam, głaskała mnie po plecach, było to trochę dziwne, nie wiedziałam, czy mam przestać, czy udać, że nic nie czuję. Przywiozła mi niebieski golf po swojej córce. Często

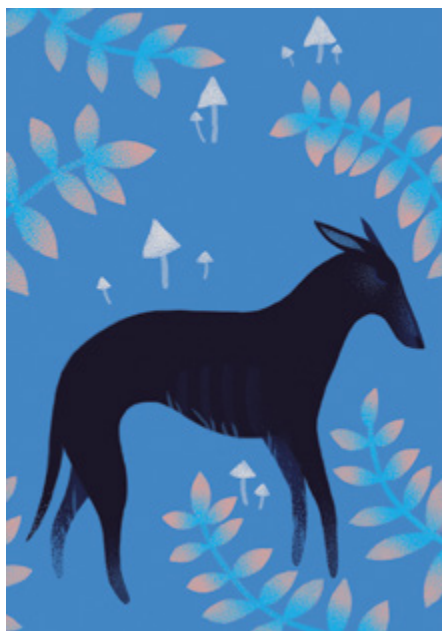
dostawałam ubrania po kimś. Dzięki temu mogłam poczuć się jeszcze biedniejsza i jeszcze głośniejsze nad sobą płakać.

Pamiętam, że później miałam jeszcze inne zwierzęta. Łapałam myszy i trzymałam je potajemnie w akwarium. Rysowałam im na papierze tapetę, którą przyklejałam do tylnej szyby. Były na niej eleganckie różowe sofy i zasłony w kwiaty, żeby myszom w domu było miło. Miałam też jaszczurki i ropuchy, ale zawsze bardzo krótko, bo nie chciałam, żeby były smutne, i wypuszczałam je najpóźniej po kilku dniach. Moja kuzynka powiedziała mi, że jak nakarmię żabę jabłkiem, to zrobi wtedy kupę i urodzi dzieci. Bardzo chciałam to zobaczyć, ale nigdy się nie udało. Miałam też sowę, którą ojciec przywiózł do domu w pudełku po butach, bo należał do towarzystwa ornitologicznego, a jej matka umarła, więc wzięliśmy ją na odchowanie. Karmiliśmy sowę surową rybą i nazwaliśmy ją Papuga. Siadała na ramieniu i można było chodzić tak z nią na spacer, wyglądało się wtedy jak pirat. Pewnego dnia ktoś ją złapał. Przeczytaliśmy o tym na portalu Grajdoł.pl, który był najpopularniejszą stroną internetową naszego miasta. Był tam artykuł o tym, że na osiedlu domków jednorodzinnych odłowiono młodą sowę i że pogotowie z ekopatrolu odwiozło ją do lasu, co jest sukcesem jednostki. W lesie Papuga prawdopodobnie od razu umarła. Nigdy niczego nie upolowała sama. Kupowaliśmy jej jedzenie w Tesco, więc w lesie nie miała dużych szans na przetrwanie, bo nie było tam gdzie zrobić zakupów. Nie udało nam się jej znaleźć. Las był na to zbyt duży. Nie pamiętam, czy po niej płakałam, ale była to naprawdę pocziwa sowa. Byłam jej adopcyjną mamą, więc ona też była trochę człowiekiem. Łatwo było mi tak o niej myśleć – że jesteśmy praktycznie tym samym. Zwierzęta są dla mnie trochę jak ludzie. Tyle tylko, że są od nas lepsze. Ale nigdy nie przejmowałam się granicami gatunków ani granicami płci. W moim świecie wszystko jest bardzo płynne. Mało zwracam uwagę na takie rzeczy. Przy określaniu osoby – nieważne, czy to człowieka, czy sowy – na pierwszym miej-

scu ważności jest u mnie to, czy ta osoba jest miła i jak spędzamy razem czas. Czuję się połączona emocjonalnie ze wszystkimi psami, którym patrzę w oczy. Dobrze rozumiem, co chcą powiedzieć. Czytanie z ich twarzy jest prostsze, więc porozumiewamy się skuteczniej niż ludzie. Gdybym mogła, to chyba wołałabym być psem niż sobą. Byłabym wtedy kimś łatwiejszym do rozumienia nawet dla siebie. Mogłabym być śmiesznym, brązowym pudlem, który wspina się po szczytach gór, a ludzie patrzyliby na mnie i mówiliby do siebie: „Jezu, co to za dziwne zwierzę, to chyba mokry szczur!”. Byłabym jednak miła i każdy chciałby mnie dotknąć. Gdybym była sucha, leżałabym na fotelu albo skradałabym się do stołu, kiedy nikt nie patrzy, żeby wyjadać z talerzyka masło. Ktoś mógłby mnie trzymać na rękach, gdybym bała się w nocy ogniska. To by było dobre życie i chyba bym sobie z nim poradziła.

Niedługo później znowu zostałam matką. W moim domu pojawił się szary bocianek. Gniazdo, w którym była cała rodzina, zniszczyła burza. Jego rodzeństwo zawisło na drutach elektrycznych i wszyscy umarli. Bocian zamieszkał w naszym kurniku. Nazywał się Gerald. Zbierałam dla niego ślimaki w krzakach po drugiej stronie ulicy Słowackiego. Co cztery godziny wypychałam mu do dzioba dwadzieścia pięć sztuk, razem z domkami, z których robił później wypluwki w kształcie szarych, mechatycznych kulek, które wyglądały jak małe myszki. Trzeba było łaskotać go po szyi, żeby je przełknął, bo sam nie do końca chciał jeść. Może wołałby inne jedzenie, ale nie udało się tego sprawdzić. Ślimaki trzymałam w wiaderku przykrytym deską. Czasami kupowaliśmy mu ryby. Potrafił połknąć w całości rybę, która była wielkości dłoni. Przez całe lato chodził po podwórku i próbował zakraść się do pompowanego gumowego basenu dla dzieci. Może miał nadzieję sam coś złowić, ale nie było w nim nic, co mogłoby nadać się do jedzenia, tylko trochę brudu, więc był wyraźnie rozczarowany tym zbiornikiem wodnym. Nasi sąsiedzi nienawidzili Geralda. W tym samym roku, kiedy się pojawił, zrobili generalny remont i wymienili dach. Bocian latał nad ich domem i robił kupę na nowe dachówki – już od skrzyżowania z ulicą Kwiatową było na nich widać białe smugi z ptasiego gówna. Chętnie weszłabym tam, żeby je wy-

czyścić. Chodzenie po dachach było moim marzeniem, więc z przyjemnością zgodziłabym się na taki wolontariat, ale nie dostałam na to zgody. Kiedy przyszła jesień, bocian był jeszcze zbyt niesamodzielny, żeby odlecieć. Ojciec oddał go koledze, który miał dużą stodołę. Gerald miał u niego przezimować. Nigdy więcej go nie spotkałam, chociaż co roku miałam nadzieję, że do nas wróci. Podobno w nowym miejscu było mu lepiej niż ze mną. Do dziś nie wierzę, że to możliwe i że znalazł



sobie lepszych przyjaciół, bo tak samo jak ja nigdy nie był specjalnie towarzyski i nie miał zbyt wielu kolegów. Zazwyczaj siedział wysoko na dachu i srał ludziom na głowę albo na nowy dach. Miał duże poczucie humoru. Odkąd go poznałam, każdy bocian wydaje mi się trochę znajomy i nie boję się już żadnych ptaków, boję się tylko gołębi. Raz gołąb uderzył w okno naszego domu, w szybę, która była tak wielka, że widziało się przez nią wszechświat. Matka włożyła mi gołębia do torby i kazała iść z nim do sąsiada, który miał gołębnik. Sąsiad obejrzał ptaka, którego przerażona przyniosłam mu w torbie, powiedział, że to nie jego, i zamknął drzwi. Nie wiedziałam, co robić. Chyba za chwilę umarł. Sąsiad trochę później, ale chyba też. Kiedy widzę gołębie, boję się, że stanie się coś strasznego i że mogą na mnie wpaść przez nieuwagę, że mogą się zabić, a ja będę ich przyczyną śmierci jak wielka szyba z salonu na Działkach. Bardzo bym tego nie chciała, dlatego się boję.

Ojciec dostarczał mi te wszystkie zwierzęta, znalezione na szosie albo odebrane od ludzi, którzy zgłosili się do niego po pomoc, bo znaleźli młode i nie wiedzieli, co robić. Chyba chciał, żebyśmy miały jakiekolwiek zajęcie. Było też widać, że jestem dobrą mamą. Strasznie starałam się robić wszystko najlepiej i łatwo kochałam porzucone leśne dzieci. Robiłam dla nich, co trzeba. To były dobre zadania, a ich efekty bardzo wyraźne. Mogłam się poczuć silna i ważna, ponieważ umiałam je odchowować i się o nie zatroszczyć, kiedy tylko mi pozwolono. W jedne wakacje pojawił się mały dzik. Ojciec przyniósł mi go w nocy na rękach. Był dziewczyną, nazywał się Zdzisława i na początku był tylko trochę większy od chomika. Zajmowałam się nim przez całe lato. Jego prawdziwi rodzice zmarli w niewyjaśnionych okolicznościach. Początkowo co cztery godziny, nawet w nocy, wstawałam, żeby butelką ze smoczką nakarmić dzika specjalnym mlekiem dla szczeniąt. Kiedy trochę podrośł i był już silniejszy, zrobiłam mu miseczkę z porcelanowej popielniczki dla gości i dodawałam do mleka dla szczeniąt garść granulatu dla prosiąt. Zdzisława wyrosła dzięki temu na imponującego prosiaka. Była coraz silniejsza. Bały się jej nawet psy myśliwskie ojca. Kiedy ktoś przychodził na podwórko, wkładała mu nos do kieszeni i sprawdzała, czy są tam jakieś przysmaki. Miała szorstką sierść i kochała drapanie. Ona też została oddana. Rzekomo u nas nie było gdzie trzymać takiego dużego dzika, mimo że mieliśmy spore podwórko i jeszcze większy dom, a ja chętnie podzieliłabym się pokojem, mogłabym go nawet oddać i zamieszkać w kotłowni. Oczywiście nikt nie wziął tego pod uwagę. Mam tylko nadzieję, że nikt nie zjadł Zdzisławy i że rodzice nie okłamali mnie, opowiadając, że trafiła do agroturystyki. Tęskniłam za nią, ale nigdy nie zgodzili się, żeby odwiedzić ją w nowym domu.

Później w naszym garażu mieszkała sarna, ale tylko przez dwa dni. Została znaleziona na drodze po potrąceniu przez auto. Była tak poturbowana, że weterynarz zdecydował się amputować jej zmiażdżoną nogę. Miała najczarniejsze oczy ze wszystkich, jakie widziałam. Przychodziłam tam rzadko, żeby się nie bała, ale ciągle szukałam pretekstów, żeby pójść po coś do garażu. Sarna leżała na słomie, aż w końcu umarła. Nastąpiło to bardzo szybko. Była u nas tylko przez tyle

czasu, żeby ją zapamiętać i żeby wiedzieć, jakie miała oczy.

Zwierzęta zawsze pojawiały się zniecierliwie. Mój ojciec mógł je przynosić bez ograniczeń. Miał w tym trochę większą swobodę ode mnie. Ja ze wszystkimi się przyjaźniłam, ale zwierzęta, które sprowadzał do domu, były jednak bardziej jego niż moje. Mogłam ich trochę doglądać, ale nigdy nie mogłam zdecydować, co się z nimi stanie. Żadne nie mogło mieszkać w domu i praktycznie nigdy nie zostawały na dłużej niż letni kwartał. Strasznie chciałam mieć coś lub kogoś na zawsze. Koty bardzo długo były dla mnie zakazane, więc miałam zapas miłości w wewnętrznej spiżarni i nie bardzo wiedziałam, co mogę z nią zrobić. Z dozwolonych i typowych zwierząt domowych dostałam kiedyś chomika. Miał na imię Poli. Był rekompensatą za to, że nie mogłam pójść na bal karnawałowy w zerówce, bo ciężko rozchorowałam się na ospę. Chyba wszyscy bali się, że mogę umrzeć, dlatego starali się jakoś mnie zmotywować. Poli zniknął któregoś dnia, niedługo po tym, jak wyzdrowiałam. Matka przekonywała, że na pewno uciekł i że chyba był chory na ospę, bo zaraził się, kiedy ja chorowałam, więc to nawet lepiej, że już go nie ma. Dostałam też papugi. Jedną z nich matka wypuściła z klatki, nie pamiętam dlaczego, a pozostałą parkę wyniosła na balkon. Tłumaczyła nam, że nie wolno trzymać w domu zwierząt, bo mamy uczulenie i dostaniemy gruźlicę od pyłu, który papugi wznicią, machając skrzydłami, a na starość jeszcze jej za to podziękujemy. Na balkonie do klatki zakradał się kot z sąsiedztwa. Kot rozerwał pazurem jedną papudze podgardle. Miała później dziurę w szyi, ale matka nadal nie pozwalała wnieść ich klatki do domu i mówiła, że jest im lepiej na tarasie, bo mają tam lepsze widoki. Któregoś dnia zniknęły. Raz zgodziła się też na psa, ale pod warunkiem, że będzie mieszkał w budzie na zewnątrz. Był szczeniakiem, nazywał się Reksio i odprowadzał mnie do szkoły aż na przystanek. Kiedy spadłam ze schodów i rozciąłam sobie brodę, liźał mnie po twarzy. Był jeszcze bardzo mały, trochę większy od mojej blizny. Jednego dnia podobno przejechał go samochód. Był u nas bardzo krótko, ale chyba zdążył dorosnąć, przynajmniej tyle.

W tym czasie ja dorosłam. Byłam już chyba w liceum, kiedy umówiłam się z ko-

legą z klasy, że dostanę od niego kota, bo akurat okociła się jego kotka. Przyjechał do mnie ze swoją matką i przywieźli Bruna. Był szary i przegowany. Nie pamiętam, czy moja matka się na to zgodziła. Na pewno nie była zachwycona. Kiedy kotek podrośł, ktoś go otruł. Usłyszałam z mojego pokoju przeraźliwe jęczenie przed domem. Pobiegłam na dwór. Kotek był cały sztywny. Nie wiedziałam, co robić. Ciocia z drugiej części domu zawiozła nas do weterynarza. Lekarz zrobił kotu zastrzyk, żeby się nie męczył, bo nic więcej nie można było już zrobić. Umarł mi na rękach. Nadal nie wiedziałam, co robić. Nigdy nie byłam w takiej sytuacji. To była pierwsza śmierć, jaką przeżyłam. Ciocia przywiozła nas do domu. Grzecznie jej podziękowałam za tę przysługę. Usiadłam na schodach przy drzwiach i płakałam przez wiele godzin. Z ciała Bruna wypłynęły brązowe płyny. Później weszłam do domu, a matka przysłała już z pracy i zrobiła mi straszną awanturę, że ubrudziłam spodnie i nadają się już tylko do wyrzucenia, bo to się na pewno nie dopierze. Pamiętam też, jak umarł jeden z psów mojego ojca, z tych, które były trenowane do polowań i mieszkaly w zamkniętych kojcach. Pies padł i leżał na ziemi przy furtce, a inne psy po nim chodziły, bo przechodziłam obok ogrodzenia i wszystkie chciały, żeby je pogłaskać. Szczekały na mnie za płotem. Żaden nie patrzył, że depcze martwą Arietę, psa rasy seter szkocki gordon. To był mój ulubiony pies.

Mieliśmy jeszcze trzeciego kotka i ten był już ostatni. Był maleńki, dopiero co pojawił się w domu, chyba też go od kogoś dostałam albo ukradłam. Odrabiałam w pokoju lekcje i usłyszałam jego przeraźliwy krzyk. Zeszłam na dół, a matka powiedziała, że kotek niestety wymknął się jej między nogami, jak sprawdzała, czy drzwi wejściowe są dobrze zamknięte na noc, i dlatego zagryzły go psy ojca, które przypadkiem były wypuszczone z kójców, to wszystko jego wina. Później wszystkich nienawidziłam i poczułam się tak, jakbym wielokrotnie umarła. Osiągnęłam w umieraniu wielką wprawę. Czułam, że nic nie znaczę i że nie mogę mieć nikogo dla siebie, a przynajmniej nie w domu, a jeśli w ogóle, to tylko w ukryciu. Dorosli mieli nade mną wielką władzę. Nie wiem, czym sobie na nią zasłużyli, bo sam fakt bycia starszym to jednak trochę za mało. Myślałam, że może chodzi o pieniądze, że wystarczy mieć ich więcej niż inni i można już wtedy wszystkich lekceważyć. Dlatego przez chwilę chciałam jednak być biedna, ale potem znowu bogata. Wiedziałam, że jak dorosnę, będę potrzebować dużo pieniędzy, żeby nakarmić wszystkie swoje zwierzęta, i że będę dla nich najlepsza. Na pewno nigdy nie chciałam mieć dzieci, żeby ich nie zniszczyć, nawet przez nieuwagę.

Kotasy to fragment książki Cukry, która ukaże się 14 kwietnia 2021 roku nakładem wydawnictwa Cyranka.



POEZJA

witalisy

URSZULA HONEK

—

dopiero po ich śmierci lisy wykopały dwie nory
tuż obok domu. w nocy dostają się do środka
i przeczesały każdy pokój.
wskakują na łóżka i jak psy zwijają się w kłębek,
wylizują słoiki po dżemach i puszki po konserwach.
drugą noc z rzędu się świeciło, szepcze do słuchawki sąsiadka.
nad ranem wracają do zimnych nor,
wszędzie gasząc światła.

URSZULA
HONEK

(1987), autorka książki poetyckiej *Sporysz* (2015), *Pod wezwaniem* (2018). W tym roku ukaze się jej nowy tom poetycki *Zimowanie*. Laureatka Grand Prix Konkursu Poetyckiego im. R.M. Rilkego i finalistka Nagrody Poetyckiej „Orfeusz” im. K.I. Gałczyńskiego. Publikowała m.in. w „Twórczości”, Dwutygodniku i „artPapierze”. Pochodzi z Racławic (k. Gorlic).

[Kup książkę](#)

Śmieszni na serio

tekst ZUZANNA KOWALCZYK

IM BARDZIEJ WŁADZA nie umie się z siebie śmiać, tym bardziej staje się śmieszna. Ale czy protest w formie śmiechu ma szansę wywalczyć jakąkolwiek trwałą zmianę?

Można to nazwać nieistotnym zbiegiem okoliczności albo – co bardziej prawdopodobne – zupełnie zignorować, ale jako osoba lubująca się w analogiach i przypisywaniu mistycznych znaczeń nie umiem przejść obok tego obojętnie. Dlatego zacznę od dość kontrowersyjnej tezy: to nie może być przypadek, że czterdziestolecie wydania *Imienia róży* Umberta Eco przypadło na rok, z którego najmocniej zapisał mi się w pamięci człowiek przebrany za jedno-rożca, leżący w poprzek torów tramwajowych, i tańcząca obok niego grupa nastolatków w brokatowych maseczkach. Co ma wspólnego jednorożec na torach z powieścią o średniowiecznym zakonie? Już tłumaczę.

Główna oś fabuły *Imienia róży* opowiada o śledztwie w sprawie mordowanych mnichów prowadzonym przez ceniącego rozum, dedukcję i otwartość Wilhelma z Baskerville. Po wielu zwrotach akcji (w których udział biorą kadzie krwi, śmiertelne kąpiele i zatrute książki) oraz dyskusjach teologicznych (które, na marginesie, bardzo by się przydało przypomnieć dzisiejszemu Kościołowi) Wilhelm odkrywa (uwaga, spoiler), że za serią zbrodni w opactwie stoi dawny bibliotekarz, stary brat Jorge z Burgos, który zabijał zakonników będących na tropie ukrywanej przez mnicha księgi – uznanej za zaginioną drugiej części *Poetyki* Arystotelesa, poświęconej filozofii

humoru. Zdaniem Jorgego nie ma nic bardziej niebezpiecznego niż filozoficzna obrona śmiechu, bo „śmiejch odrywa wieśniaka na jakiś czas od strachu. (...) [A] prawo narzuca się poprzez strach. (...) Kiedy wieśniak się śmieje, a wino bulgocze mu w gardle, czuje się panem, albowiem odwrócił do góry nogami relacje panowania; lecz ta księga mogłaby nauczyć uczonych przemysłnych (...) wybiegów, przez które można uprawomocnić owo wywrócenie do góry nogami. Wtedy przeobraziłoby się w operację umysłu to, co w bezrozumnym geście wieśniaka pozostaje jeszcze, i na szczęście, operacją brzucha” [przeł. Adam Szymanowski].

Największą obawę budziły zatem w Jorgem dwie funkcje śmiechu: poznawcza, pogłębiająca świadomość i demaskująca fałsz, oraz rewolucyjna, wywracająca ład i przekazująca sprawczość w ręce poddanych. Niebezpieczeństwo obu tych funkcji, tak niepokojących mnicha, wynika oczywiście z ich potencjału społeczno-politycznego. Według tego założenia jeśli władza zostanie obśmiana, straci autorytet i być może, w efekcie, samą władzę; zwłaszcza jeśli ta została wywalczona lub utrzymana nie dzięki kompetencjom czy szacunkowi, ale za pomocą strachu.

W podobnym duchu mówi się dziś dużo o potencjale tego, co dzieje się od zeszłego roku w związku z Ogólnopolskim Strajkiem Kobiet. Oczywiście dopiero za jakiś czas będziemy w stanie ocenić, na ile ostatnie protesty przesunęły zwrotnicę; na ile ten zbiorowy wybuch złości i śmiechu był szczególnie na tle wcześniejszych, podobnych wybuchów różnych grup w stosunku do różnych władz. Ale choć trudno dziś o ocenę sprawczości, nie jest zbyt wcześnie na refleksję nad formą – estetyką zar-



rzeźba PAWEŁ KOWALEWSKI, *Projekt pomnika wszystkim tym, którzy byli, są i będą przeciw*, 1989, Galeria Propaganda

[Kup książkę](#)

tu i zabawy, zmaterializowaną w postaci memów przeniesionych z sieci na transparenty sklejone z kartonów po pizzy, już teraz uznane za znak czasu i kolekcjonowane przez Muzeum Gdańskie. Oto protest wyrażający ducha czasów, w których wraz ze wzrostem znaczenia internetu podniosła się też ranga ironii i śmieszności, a wyrazem buntu są nie tylko poważne konstatacje o kondycji prawa czy decyzjach władzy, ale też takie hasła, jak „X myśli, że genitalia to włoskie linie lotnicze”, „Y ma kredyt w powerbanku” czy „Z liże znaczki przed wysłaniem maila”. Powiedzenie „załatwimy ich śmiechem” zyskało bardzo namacalny wymiar. Do tego – obok scen zdecydowanie mało zabawnych, z policyjnymi kotłami i gazem łzawiącym w roli głównej – dodajmy typową odpowiedź na przedawkowany strach: jeszcze głośniejszy śmiech i jeszcze większą zabawę, przywołującą na myśl dawny karnawał. Przypomnę jeden, obwołany niemal od razu symbolem jesiennych wydarzeń nagłówek z „Gazety Wyborczej”: *Kobiety zablokowały Poznania. Centrum sparaliżowane. Motornicza bije brawo, geje tańczą poloneza*. Kurtyna.

Rosyjski teoretyk kultury i literatury Michaił Bachtin podobne tymczasowe zawieszenie reguł określił mianem „karnawalizacji”. W swojej książce *Twórczość Franciszka Rabelais’a o karnawale*, że „nie [jest on] formą teatralno-widowiskową, a jak gdyby realną (chwilową) formą samego życia” [przeł. Anna Goreń i Andrzej Goreń]. I choć trudno uznać protest za karnawał jeden do jednego, to jednak można znaleźć między nimi (zwłaszcza w odniesieniu do ostatnich strajków) mnóstwo analogii. Na przykład: „jeżeli jego [karnawału] oficjalne (...) oblicze było zwrócone ku przeszłości, uświęcając i sankcjonując istniejący ustrój, to jego twarz ludowa i jarmarczna spoglądała w przyszłość, śmiejąc się na pogrzebie przeszłości i teraźniejszości”. Albo: „Lud odczuwa w (...) [karnawale] swą konkretną zmysłową, materialno-cieleśną jedność i wspólnotę”. I jeszcze: „W świecie karnawału poczucie ludowej nieśmiertelności łączy się z poczuciem względności aktualnej władzy i panującej prawdy”. Brzmi znajomo?

Z karnawalem i jego potencjałem wzniesienia rewolucji jest jednak jeden problem – karnawał zawsze miał wymiar tymczasowy. Nie zmieniał *status quo* trwale, ale wywracał go jedynie na chwilę, by poprzez zabawę dać ujście negatywnym emocjom – a zatem tak naprawdę służył utrwaleniu, a nie obaleniu społecznego porządku. Spełniał trzy inne (od tych, do których odnosił się Jorge z Burgos) funkcje przypisywane śmiechowi. Tomasz Rawski w eseju *Śmiech a władza. Przegląd społecznych funkcji komizmu* określił je mianem ludycznych (zabawowych), rewitalizacyjnych (odbudowujących) i karkotycznych (rozładujących). Społeczeństwo, które odreagowało chwilowym szaleństwem, mogło szybko

powrócić do starych hierarchii. I to tu tkwi najbardziej istotna różnica między karnawalem a protestem – różnica, z której wynikają wątpliwości co do rewolucyjnego potencjału śmiechu: podczas gdy karnawał jest nastawiony na zabawę, a przy okazji bywa sprawczy, protest jest nastawiony na sprawczość, a przy okazji bywa zabawny. W nieunikniony sposób rodzi się tu więc pytanie o to, czy protest w formie śmiechu ma szansę wywalczyć jakąkolwiek trwałą zmianę.

Samo śmianie się z władzy bywa obrazoburcze, ale rzadko kiedy okazuje się rewolucyjne. Owszem, nosi znamiona buntu, niekiedy staje się jedyną dostępną odpowiedzią na absurd, zaproszeniem do obywatelskiego nieposłuszeństwa. Ale śmiech kojarzy się też z zabawą, dystansem, niekiedy wręcz z drwiną, skąd nierzadko już tylko krok do ironicznej inercji. Sarkazm jest przecież często zaprzeczeniem działania, chłodną ripostą w miejsce zaangażowania, postawą, która spełnia definicję śmiechu jako zawieszenia współczucia (Henri Bergson) lub chwilowego poczucia wyższości (Thomas Hobbes). Dlatego intuicyjnie dobrze rozumiem, czemu śmiech, jakkolwiek niosący tak zwaną lekkość bytu, jest też przez niektórych uważany za niebezpieczne narzędzie jakiegokolwiek zmiany. Oczywiście nie każdy, kto posługuje się sarkazmem, jest internetowym trollem, który zakładając twardy pancerz ironii i drwiny, podrzuca granaty do baz arbitralnie wyznaczanych wrogów. Nie każdy ironista to Joker z filmu Todda Phillipsa, którego jedynym celem jest dekonstrukcja i chaos. Ale którejś przebiega ta granica, odgradzająca pustkę od znaczenia, a bierność od działania, skoro śmiech sam w sobie nie jest jeszcze rewolucją?

Ironia to przede wszystkim „chluba niewolnych” – napisał w swoim wierszu *Nie tak* Czesław Miłosz. Jest więc dobrą odpowiedzią, gdy na inną nie ma przestrzeni, gdy odebrane zostaje komuś prawo głosu, gdy zamyka się możliwość dyskusji. Do tego „czasami «lud» działa za pośrednictwem milczenia czy też ironicznego użycia języka; humor, a nawet drwiny, pozwalają mu przejść język i wykorzystać go do celów innych niż zwyczajowe” [przeł. Joanna Bednarek] – podkreśla Judith Butler w książce *Zapiski o performatywnej teorii zgromadzenia*. W tym sensie ironiczny śmiech może być narzędziem przechwycenia władzy i odzyskania sprawczości, ale pytanie brzmi, co tę sprawczość w kontekście śmiechu warunkuje? I czy to wszystko, co rozgrywa się na ulicach w związku z Ogólnopolskim Strajkiem Kobiet, ma szansę – niosąc na sztandarach nie tylko złość, ale i śmiech – stać się narzędziem trwałej społecznej zmiany?

Podobne
poczucie
humoru daje
nadzieję
na odkrycie
innych
obszarów
wspólnych.
Jest zarówno
zaproszeniem,
jak i obietnicą
porozumienia.

WE WSPOMNIANYM już artykule *Śmiech a władza* Tomasz Rawski, zbierając wnioski z różnych klasycznych pozycji z zakresu socjologii śmiechu (takich jak *Komizm* Jana

Stanisława Bystronia czy *O komizmie* Bohdana Dziemidoka), pisze jeszcze o czterech innych istotnych funkcjach śmiechu w przestrzeni społecznej: integrującej, identyfikacyjnej, stygmatyzującej oraz korygującej. To w nich można szukać granicy między śmiechem a drwiną, a w konsekwencji – działaniem a inercją. Zwłaszcza że śmiech, jak pokazały ostatnie protesty, ma moc łączenia tam, gdzie niejednokrotnie połączyć jest się nam najtrudniej. Tak wiele mówimy dziś o polaryzacji, rozpadzie wspólnoty, braku silnych więzi społecznych i deficytach w sferze zaangażowania publicznego. Tymczasem ostatnie wydarzenia pokazały, że istnieje pewien rodzaj więzi – jeśli nawet nie nowej, to wskrzeszonej w nowym kontekście – którą socjolog Kazimierz Żygulski nazwał „wspólnotą śmiechu” (*Wspólnota śmiechu: studium socjologiczne komizmu*); coś, na myśl o czym serce Jorgego z *Imienia róży* zaczęłoby pewnie bić mocniej.

Wspólnota śmiechu ma funkcję zarazem integrującą i identyfikacyjną. Pozwala na założenie, że skoro łączy nas uznanie danej rzeczy za zabawną, to najpewniej podzielamy również konkretny zestaw przekonań moralno-obyczajowych. Taka wspólnota może, choć nie musi, być polityczna. Nie potrafię wytłumaczyć, dlaczego bawi mnie akurat *Przyjaciele*, a zupełnie nie bawi podobny formatem serial *Jak poznałem waszą matkę* (zresztą umówmy się, że jeśli zacznę tłumaczyć, czemu moim zdaniem coś jest śmieszne, to masz prawo, czytelniku, natychmiast ten tekst porzucić) – ale z nieznanymi mi bliżej przyczyn czuję nieuzasadnioną sympatię do ludzi, którzy dzielą moje rozbawienie odcinkiem o „świętecznym pancerniku”. Podobne poczucie humoru daje nadzieję na odkrycie innych obszarów wspólnych. Jest zarówno zaproszeniem, jak i obietnicą porozumienia. Pisał o tym zresztą między innymi wspomniany już Umberto Eco w *Semiologii życia codziennego*: „Tragizm (i dramatyzm) są uniwersalne. (...) Komizm natomiast wydaje się być związany z epoką, środowiskiem, antropologią kulturową” [przeł. Piotr Salwa i Joanna Ugniewska]. A zatem z rozpoznawaniem tych samych znaków i kodów kulturowych. Czym innym był napis na jednym z moich ulubionych transparentów z jesiennych protestów – „Annuska już rozlała olej” – jak nie puszczaniem oka, budowaniem wspólnoty opartej nie tylko na tym samym sprzeciwie wobec decyzji władzy, ale też na znajomości jednego kodu?

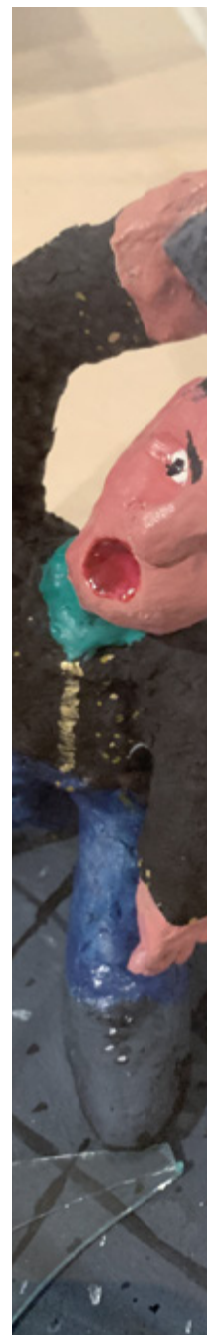
Nieuniknioną konsekwencją budowania tego typu wspólnoty jest jednak tworzenie podziału. I to nie tylko na tych, których łączy lub dzieli dany pogląd, ale również na tych, których bawi – lub nie – dany żart, albo na tych, którzy (jak w przypadku tekstu z Annuszką) czytali – lub nie – *Mistrza i Małgorzatę*. Oczywiście, jak zauważa Rawski we wspomnianym tekście *Śmiech a władza*, „samo poczucie humoru jest tak zróżnicowane grupowo ze względu na status społeczny i identyfikacje ideolo-

giczne, a więc skorelowane z interesami i tożsamością różnych wspólnot. Tak więc śmiech i śmieszność podlegają upolitycznieniu” i jest to zjawisko nieuchronne. Ale w takim razie warto zdać sobie sprawę z tego, jak bardzo śmiech jest polityczny, bo dokładnie w tym miejscu, w którym wybucha salwa śmiechu, kontrolę nad grupą przejmują rozmaite mechanizmy władzy. A my, odurzeni zabawą i poczuciem przynależności, tak bardzo przyjemnym i pożądanym, możemy łatwo przeoczyć moment, w którym śmiech stanie się narzędziem manipulacji lub wygaszania potencjału do zmiany w miejsce jego wznecania.

JAKIŚ CZAS TEMU WRÓCIŁAM do miłych wspomnień i naruszyłam stos, którego podstawę tworzą książki darzone przeze mnie największym sentymentem. Wyciągnęłam rozpadające się wydanie baśni Hansa Christiana Andersena z 1965 roku z ilustracjami Jana Marcina Szancera (to samo, które widziałam na wielu półkach w wielu domach, bo sporo osób, podobnie jak ja, zachowało tę książkę jako artefakt z dzieciństwa). Przypomniałam sobie baśń o władcy, któremu nie zależało na państwie, ale „szło mu tylko o to, by obnosić przed ludźmi coraz to nowsze stroje” [*Nowe szaty cesarza*, przeł. Stefania Beylin i Stanisław Sawicki]. Cesarz, przekonany przez dwóch oszustów, że uszyją mu ubranie „niewidzialne dla każdego, kto nie nadawał się do swojego urzędu albo też był zupełnie głupi”, wołał wyjść nago na ulicę niż zostać posądzonym o głupotę i niekompetencję (czym – rzecz jasna – dowiódł jedynie, że jest zarówno głupi, jak i niekompetentny). To nawet nie próżność czy naiwność okazały się głównym powodem śmieszności władcy z baśni *Nowe szaty cesarza*, ale przede wszystkim jego brak dystansu do siebie. Dystans daje miejsce na błąd, niewiedzę, nierzadko dowodzi inteligencji i pewności siebie. A wiadomo, że im bardziej władza nie umie się z siebie śmiać, tym bardziej staje się śmieszna. I ten mechanizm pozostaje aktualny od wieków.

Z jednej więc strony władza i śmieszność od zawsze idą w parze, a „humor polityczny jest równie stary jak sama polityka” – pisze we wstępie do swojej książki *Polityka i humor* Longin Pastusiak. Pamięamy nie tylko *Rejs*, *Misia* i rozmaite „bareizmy”, ale też (w bardziej współczesnym kontekście) orły z czekolady, ucieczki po pijaku przez okno i po drabinie, lapsusy typu „za a nawet przeciw”, słynny „bul”, pytanie o nazwisko carycy Katarzyny, anegdotę o ludziach rzucających kamieniami w dinozaury... Pamflety, satyry, felietony, karykatury i kabarety wyśmiewające władzę mają równie długą historię, jak struktury publicznej, zinstytucjonalizowanej władzy. Ale i władza nierzadko za pomocą śmiechu budowała i podtrzymywała swoją pozycję. „Humor jest potężną bronią, jeżeli tylko polityk wie, jak się nią posługiwać. Szczegół-

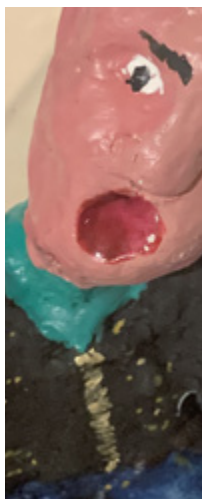
[Kup książkę](#)



ną popularnością zawsze cieszą się zwłaszcza ci politycy, których stać na autoironię” – stwierdza Pastusiak. Udowodnił to niedawno choćby Bernie Sanders. Zrobione w trakcie inauguracji Joego Bidena zdjęcie, na którym siedzi w charakterystycznej pozie w wełnianych rękawiczkach, stało się internetowym wiralem. Sanders przekuł śmiech z samego siebie w (dosłownie) dobrą monetę – ze sprzedaży produktów opatrzonych słynnym zdjęciem zebrał dwa miliony dolarów na cele charytatywne.

Władzę można więc sobie zapewnić z jednej strony poprzez naturalność i dystans, a z drugiej, tej łatwiejszej – przez wycucie i dostrojenie się do tego, co śmiesz większość. Rawski nazywa to „ekspansją głównego nurtu” lub „wszczepieniem się polityka w ramy już istniejącej wspólnoty śmiechu”. Nie jest to może całościowa, ale z pewnością w jakimś wymiarze bardzo trafna definicja populizmu. Politycy u władzy nierzadko manipulują śmiechem, by wydać się swoim wyborcom podobnymi do nich, wywołać poczucie jedności. Jednocześnie umiejętnie posługując się humorem, można też łatwo ośmieszyć swoich przeciwników politycznych, na przykład pokazując ich jako nieprzystających do tejże wspólnoty. To nic innego jak odwieczny mechanizm „my kontra oni”, tym razem zakotwiczony w humorze: śmiejemy się z tego samego, więc jesteśmy z wami – a kto nie jest z nami, ten przeciwko nam.

Żartem można więc zjednać sobie wyborców (bo nie tak nie brata jak wspólne poczucie humoru), dowieść własnej inteligencji lub zaszachować politycznego przeciwnika (jak Al Gore George’a Busha podczas debaty prezydenckiej w 1992 roku: „Przypisywanie sobie przez George’a Busha zasługi obalenia muru berlińskiego możemy porównać do przekonania koguta, który sądzi, że piejąc, wywołuje wschód słońca”). Ale żart nieumiejętny może być też powodem poważnych problemów dyplomatycznych (co pomijając oczywiste skojarzenia z Donaldem Trumpem, dotyczy choćby Ronalda Reagana, który zaliczał wpadkę za wpadką – od niezręcznych przejęczyń, jak ta podczas uroczystego toastu za zdrowie księcia Karola i księżnej... Dawida, po nieumyślnie rzucony na antenie żart, jakoby za pięć minut armia amerykańska miała rozpocząć bombardowanie Związku Radzieckiego). Nawet we współczesnym kontekście Twittera, memów i celebrytwa w kwestii śmieszności w sferze publicznej wciąż obowiązują te same reguły: po pierwsze, jak napisał w swoim felietonowym poradniku buntu *Listy do młodego kontestatora* Christopher Hitchens, „ogólna reguła dotycząca humoru brzmi: jeśli się obawiasz, że przedobrzyłeś, to znaczy, że jeszcze nie posunąłeś się dość daleko. Jeśli wszyscy się śmieją, poniosłeś porażkę” [przeł. Dariusz Żukowski]. A po drugie, próba ośmieszenia króla poprzez stwierdzenie, że jest nagi, może zmienić układ sił, tylko jeśli król udaje ubranego. Jeżeli król wie, że jest nagi, i sam to głośno



przyzna, nikt mu nie będzie w stanie ściągnąć metaforycznych spodni. To dlatego sprytna władza niejednokrotnie impregnuje się ironią.

Skuteczny śmiech działa więc w dużej mierze jak rozpuszczalnik. Tam, gdzie może, zmywa pozory, dokonując demaskacji. Filozof Henri Bergson w książce *Śmiech. Esej o komizmie*, wskazuje, że śmiech jest przede wszystkim odpowiedzią na mechaniczność i sztywną instytucjonalność. Jest aktem buntu przeciwko skostniałości, spontaniczną reakcją na fałsz, szturchnięciem sztywniaka. Władza staje się śmieszna, gdy zamiast uznać swoją śmieszność za wszelką cenę stara się ją zamaskować i wyprzeć – ponieważ to wyparcie, podobnie jak nieumiejętne maskowanie własnych niedoskonałości, przypomina gimnastykę robota. Braki schowane za metaforycznym wąsem i przydużą marynarką zostają w ten sposób jedynie obnażone. Z powagą jest więc trochę jak z tytułowym słoniem z opowiadania Sławomira Mrożka: trzeba ją sztucznie pompować wtedy, gdy jej – podobnie jak prawdziwego słonia – nie ma. I podobnie jak w przypadku Mrożkowego słonia z gumy, wystarczy silniejszy podmuch wiatru, by uleciała. A „spadając, nadział[a] się na kaktus i pęk[ła]”.

W KULMINACYJNEJ SCENIE *Imienia róży* dochodzi do konfrontacji postępowego Wilhelma, który ponad wszystko ceni dedukcję, zmianę światopoglądową i humor, oraz Jorgego, który ceni tradycję, bogobojność i powagę. Gdyby przenieść tę parę mnichów ze średniowiecznego opactwa na dzisiejsze podwórko, Wilhelma przypisałibyśmy pewnie stronie progresywnej, a Jorgego bez większych wątpliwości tej konserwatywnej. Stosunek do śmiechu bardzo mocno łączy się ze światopoglądem. Píše o tym zresztą również Hitchens w swoich *Listach*...: „Często twierdzi się, że radykałowie są pozbawieni humoru, i z pewnością nie ma to być komplement pod adresem okazywanej przez nich powagi”. Kojarzenie konserwatyzmu z powagą bierze się rzecz jasna z przywiązania do tradycji, wiary w ponadczasową mądrość reguł, które warunkując niegdyś postęp, będą w tym ujęciu warunkowały go dalej. Śmiech ze swoim obrazoburczym charakterem wydaje się w tym miejscu absolutnym kontrastem. Ale byłoby dużym nadużyciem stwierdzić, że strona konserwatywna nie posługuje się humorem. Każda ze stron ma swoje własne *trigger*y (punkty zapłonu), obszary zabawy i powagi, a także świętości, z których śmiać się w żadnym razie nie wypada. Istotne jest tu jednak odróżnienie żartu od drwiny, korygującej funkcji śmiechu od tej stygmatyzującej czy wykluczającej; wskazanie granicy, która niekoniecznie jest spójna z podziałem światopoglądowym. Zwracał na to uwagę już Arystoteles, którego filozofii śmiechu tak bardzo obawiał się Jorge. Jak podkreśla Natasza

Więcej na ten temat możesz posłuchać

23 marca
o godz. 14:00

na antenie

chillizet

Warszawa
101,5 FM,
Katowice 93,6 FM,
Kraków 93,7 FM,
Hel 107,8 FM
oraz na

www.chillizet.pl

Kup książkę

Szutta na łamach magazynu „Filozofuj!” w artykule *Czy Jorge słusznie obawiał się arystotelesowskiej nauki o śmiechu*, „Arystoteles zauważa, że w języku greckim pojęciu «dowcipny» odpowiada pojęcie *eutrapelia*, które swoim brzmieniem przypomina *eutropos* – czyli «giętki», to znaczy taki, który potrafi się odpowiednio dopasować. Nie chodzi tu jednak o «giętkość» w znaczeniu przebiegłości czy sprytu (...), lecz zważania na odczucia i emocje ludzi, którzy stają się przedmiotem i świadkiem żartu. Człowiek dowcipny według Arystotelesa zatem nie może kpić z rzeczy, które są dla innych święte, nawet wówczas, gdy sam ich nie poważa».

Śmiech zupełnie niepoahamowany i wyzbyty jakichkolwiek ram może prowadzić do totalnej dekonstrukcji. Stać się pustym śmiechem Jokera, który za rechem krył rozpacz. Idąca za takim śmiechem rewolucja niczego nie buduje, jedynie niszczy. Z kolei bez jakiegokolwiek śmiechu świat byłby koszmarnie ponurym więzieniem; jak napisał w *Traktacie o łuskaniu fasoli* Wiesław Myśliwski, „śmiech to zdolność człowieka do obrony przed światem, przed sobą. Pozbawić go tej zdolności to uczynić go bezbronny”. Wybór nie ogranicza się jednak do świata Jorgego lub świata Jokera. Świata podpalonych aut lub zakonnej musztry. Możliwe (a nawet konieczne) jest ustawienie barier pomiędzy, dopóki dostrzegamy jeszcze jakościową różnicę między dobrym humorem a przemocą. Czym innym jest śmianie się z instytucji, systemu czy nadużywania przez kogoś pozycji, czym innym – śmianie się z rzeczy, na które dany człowiek nie ma wpływu, wyśmiewanie konkretnej osoby lub grupy. Skoro zaczęłam od *Imienia róży*, to pozwolę sobie pozostać w kręgu dzieł literackich o mnichach i przywołać na potwierdzenie swojej intuicji cytaty z *Monachomachii*, utworu nestora polskiej satyry Ignacego Krasickiego: „I śmiech niekiedy może być nauką./ Kiedy się z przywar, nie z osób natrzęsa”. Sprawczość śmiechu opiera się więc przede wszystkim na jego funkcji korygującej – tej, która demaskuje, sprowadza na ziemię, grozi palcem, upomina, ale nie wyklucza i nie naznacza; celuje raczej w system lub postawę niż w jednostkę, odzierając wielkie pojęcia z ich niedostępności i ostateczności. Humor jako broń obosieczna może zostać użyty zarówno do tworzenia podziałów, jak i do rozbrajania fundamentalizmów, obnażania słabości instytucji, odzyskiwania społecznej energii. I choć być może nie jest przez to najlepszym narzędziem zmiany, to w momentach naprawdę głębokiego kryzysu bywa jedynym – dzięki zdolności rozbrajania strachu, zapraszania demokratyczności, zdolności budowania wspólnoty, pobudzania do myślenia, stawiania się narzędziem krytycznego myślenia i w końcu – orania gruntu pod zmianę. Sprawczość śmiechu nie polega więc na wywoływaniu rewolucji, ale na tworzeniu społecznej gotowości do jej przeprowadzenia.

W tym miejscu może pojawić się zarzut, którego boję się najbardziej, zwłaszcza w tekście o śmieszności – że dokonując tak szczegółowej wiwisekcji śmiechu, pozbawiam go jego iskry, spontaniczności, a zatem, że (o zgrozo) brak mi poczucia humoru. Z pomocą przyszedł mi jednak Hitchens, który w *Listach...* pisze: „miej na uwadze, że jeśli naprawdę troszczysz się o jakąś poważną sprawę albo głęboki temat, być może będziesz musiał zmienić się w nudziarza”. Więc może tę powagę usprawiedliwi fakt, że to ją uważam za ostatnie, kluczowe ogniwo naprawdę społecznie sprawczego śmiechu. Do przeprowadzenia rewolucji feministycznej nie wystarczy śmianie się z dziadarsa (choć śmiech pomaga obnażyć fakty, zmobilizować siły i sprowadzić wywyższających się do parteru), potrzebna jest też ciężka praca nad uświadamianiem, piętnowaniem przemocy, wspieraniem jej ofiar, walką o zmiany legislacyjne, o większą równość w przestrzeni publicznej... Wszystko to, co zupełnie nie jest śmieszne, ale trudne, żmudne i poważne. Wszystko to, czego nie zastąpi nawet najbardziej trafiony żart. Nawet jednorożec na torach. Skuteczne działanie opiera się zarówno na śmiechu, jak i na powadze, bo to śmiech toruje drogę powadze, a powaga nie miała by szansy stać się nośną bez śmiechu. Dlatego właśnie – parafrazując tytuł słynnego dramatu Oscara Wilde’a – bądźmy śmieszni na serio. Być może w ten sposób, krok po kroku, dokona się trwała zmiana.

Rzeźbę Pawła Kowalewskiego można zobaczyć do 25 kwietnia na wystawie *Rzeźba w poszukiwaniu miejsca* w Zachęcie – Narodowej Galerii Sztuki w Warszawie.

Władza staje się śmieszna, gdy zamiast uznać swoją śmieszność za wszelką cenę stara się ją zamaskować i wyprzeć – ponieważ to wyparcie przypomina gimnastykę robota.

**Wydanie specjalne
„Wokół książek”
dostępne już tylko
w ramach
prenumeraty
„Pisma”**

magazynpismo.pl/kup

Kup książkę





ESEJ IDEE

2021: rok buntu

tekst KAROLINA WIGURA